DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. — Poznań 1 września, 1888 r. — Nr. 25.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski" w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXVII.

Każda kobieta, której młodość mniej, lub więcej burzliwie upłynęła, doszedłszy do pewnego wieku, w którym chce, aby drudzy o jej przeszłości zapomnieli, stara się o kogoś, któryby jej niewinność przed światem ogłaszał i samej w nią uwierzyć dopomógł.

Rolę podobnej opiekunki przyjęła na siebie panna Gurlichingen, stając w obronie zwichniętej opinii księżnej Zofii Obłońskiej. Jako wynagrodzenie za ponoszone trudy dostaje wykwintne jedzenie, mieszka w czarodziejsko urządzonych apartamentach, ma liczną służbę na zawołanie, kosztowne upominki, jednem słowem, pomijając dosyć częste ataki gniewu i rozdrażnienia zwykłe u kobiet, w położeniu księżnej będących, bardzo przyjemna i wygodna exystencya.

Opinia księżnej musiała od śmierci męża spaść jeszcze kilka stopni niżej, inaczej nie wybrałaby Stazyi, cieszącej się tylko względnie dobrą reputacyą, na towarzyszkę w swem zupełnie prawie osamotnionem życiu. Bo też naprawdę niekoniecznie dobrze się pięknej Sonii powiodło.

Kiedy po śmierci męża opuszczała Petersburg z ogromnym zapisem w ręku, miała nadzieję, że zaręczynom jej z młodym księciem Capito nic na przeszkodzie już stanąć nie może — zawiodły ją jednak marzenia, bo Cino w dwa miesiące po jej powrocie do Francyi był już z młodą wdową na mniej, niż obojętnej stopie.

W pół roku po tem zerwaniu Zofia Obłońska popełniła pewne „głupstwo", które jej drzwi arystokratycznych domów na zawsze zamknęło. W Monte Carlo przy stole rulety poznała młodego, węgierskiego *comte de* Bethenyi, który ognistą swą naturą, ujmującą powierzchownością, lekkomyślnem wyrzucaniem pieniędzy, wreszcie grą na fortepianie serce czterdziestoletniej księżnej podbił od razu. Zmuszona pewnem, mocno ją kompromitującem zajściem, zaręczyła się z węgierskim hrabią, chcąc się małżeństwem choć w części zrehabilitować. Na nieszczęście przybyło do Monaco kilka węgierskich, znajomych księżnie rodzin, które, spotykając ją przy boku narzeczonego, witały ją ironicznym uśmiechem, na młodego Węgra dwuznaczne rzucając spojrzenia, a po ich odejściu złośliwe śmiechy dolatywały drażliwych uszu księżnej.

W godzinę później rozeszła się między gośćmi wiadomość, że narzeczony księżnej Obłońskiej jest fechtmistrzem w szkole prywatnej i że z wygranemi na saskiej loteryi dziesięcioma tysiącami marek przybył do Monaco, chcąc grą dorobić się majątku. Tego samego wieczora Caspar Bethenyi postawił ostatnie tysiąc marek na numer dwudziesty dziewiąty, może dla tego, że 29 styczeń był dniem jego urodzin i... przegrał. Tej samej nocy kulą z rewolweru zakończył tak poetycznie się właśnie zaczynające życie.

Paryzki „Figaro" zredagował na ten temat obszerny artykuł, a księżna Obłońska, okrywszy się śmiesznością, była już raz na zawsze „niemożebną."

Wszystkich ubawił ten epizod; niektórzy żałowali biednego fechtmistrza, ale ogół cieszył się nieporozumieniem, które zwyczajnego Caspara Bethenyi na hrabiego kreowało. Nieboszczyk zapisał się w liście przyjezdnych pod nazwiskiem C. Bethenyi, z czego korzystając usłużni dziennikarze i hotelowi garsoni, hrabiowską koroną jego czoło uwieńczyli.

Upłynęły dwa lata, w czasie których księżna Obłońska napróżno dawne swe towarzyskie stanowisko odzyskać usiłowała. Dziwiono się ogólnie, dla czego nie wraca do Rosyi, ale ponieważ stale zamieszkała w Paryżu, więc musiała mieć ważną, nie wszystkim wiadomą przyczynę.

Inna na miejscu księżnej kobieta, rozporządzając tak bajecznie nieograniczonemi środkami, byłaby może, szydząc z opinii publicznej, nie zmieniła swego dotychczasowego postępowania. Ale w charakterze Zofii Obłońskiej leżał jeszcze jakiś cień niezatraconej godności kobiecej, więc przede wszystkiem starała się znowu usilnie pogodzić z oburzonym na nią światem.

Celem jej życia było obecnie stosowne jakieś zamążpójście, któreby przeszłość zatarło, a w bujnej swej wyobraźni nosiła zawsze jeszcze obraz barona Edgara Rohritza, uważając go za drugiego św. Jerzego, przeznaczonego do zcięcia stugłowej hydry zarzutów.

Niektórzy ludzie, a zwłaszcza kobiety mają dar zacierania swych wspomnień z tą samą zręcznością, z jaką modni fotografowie retuszują swe portrety, tak, że w końcu pierwotnych rysów już na nich dojrzeć nie można.

Księżna Obłońska była mistrzynią w tej sztuce; wszelkie drażliwe wspomnienia przeszłości usunęła z pamięci, zaczynając tyle myśleć i rozpowiadać o sobie, jako o pokrzywdzonej cnocie, że w końcu sama w swą nieskazitelność uwierzyć musiała.

Chwilowemu jej postępowaniu nic zarzucić nie było można, chociaż dla niej to udawanie było nad wyraz przykrem i trudnem do zniesienia.

. . . .

Wybiła piąta godzina po południu. Srebrem przetykane zasłony u okien mieszkania księżnej Obłońskiej nie dozwalają widzieć, co się dzieje na dworze — w ciepło ogrzanym pokoju, oświetlonym kilku lampami, panuje nader przyjemna temperatura. Jest to dzień tygodniowego u księżnej przyjęcia; w salonie nie ma jeszcze nikogo z obcych, ale lokaj przed chwilą wniosł zastawę do herbaty, stawiając ją na oryginalnym, chińskim stoliczku. Srebrny samowar śpiewa swą jednostajną piosnkę; w szlifowanych karafkach błyszczą różnokolorowe wina, a na artystycznych talerzach z sewrskiej porcelany leżą porozkładane *petits fours* i inne przysmaki, nęcąc apetyczną swą powierzchownością.

Nie potrzeba zapewne dodawać, że, jak księżna taiła przed Stazyą powody zupełnego odsunięcia się od stosunków ze światem, tłomacząc się potrzebą wypoczynku i słabym stanem zdrowia, tak Stazya ze swej strony czuła się w obowiązku zawiązywać nowe stosunki, nowemi postaciami salony księżnej zaludniać. Towarzystwo, z którem po długich staraniach bliższą znajomość zrobić się Stazyi udało, składa się chwilowo z kilku, świeżo w Paryżu osiadłych, bogatych amerykańskich rodzin i z artystów.

Sonia ma szczególną słabość do artystów; uważa, że obejście ich jest więcej ożywione, nie tak sztywne i krępowane, jak ludzi, z jej klasy pochodzących, o których ceremonialności dosyć się naopowiadać nie może. Ulubienicą jej w tem artystycznem gronie jest znana nam p. Berta Furwesen, za pomocą której księżna uprawia pewną, bardzo niewinną rozrywkę, w której panna Berta celuje. Za pomocą wiadomości i szczegółów, udzielanych jej przez pianistkę, księżna śledzi postępowanie niektórych, do wyższego świata należących kobiet, którym pozornie świat nic zarzucić nie może, odkrywając od czasu do czasu pewne niedokładności, jakich się te „świętości“ dopuścić poważyły.

Wesoły ogień płonie na marmurowym kominku, rzucając promienie na siedzącą na nizkim fotelu księżnę. Piękna pani ubrana jest kosztownie, ale z wyrafinowanym gustem i prostotą, w ręku trzyma mały wachlarzyk japoński, zasłaniając twarz od zbytniego gorąca blizkiego ognia na kominku. Biedna księżna uskarża się na migrenę i ma nadzieję, że dzisiajsze zebranie nie będzie tak strasznie liczne, jak na ostatniej jej recepcyi. Ale kwadrans, pół godziny upływa, a nie ma jeszcze nikogo. Stazya zaczyna być głodna, *petits fours* nęcą ją niewypowiedzianie, ale nie może sięgnąć po nie, znaczyłoby to bowiem stracić nadzieję jakiejkolwiek wizyty, a nie wolno jej tej myśli objawić, dopóki Sonia nie wypowie jej pierwsza.

— Biedny Boissy — odzywa się księżna po chwili milczenia — Boissy jest świeżym, przez nią protegowanym malarzem. — Biedny, nie miał odwagi przyjść tutaj, wstydząc się zapewne swej żony! Mój Boże, powinien wiedzieć przecież, ile dla żon artystów mam pobłażania. Mojem zdaniem, my kobiety powinnyśmy zmieniać te upośledzone istoty, ażeby później swym mężom dorównać mogły. Ale wszyscy, niestety! innego są zdania, i nigdzie prawie żon artystów nie przyjmują, chociaż ja to uważam za niegodne, a nienawidzę wszelkich małostek.

Znowu kwadrans upływa — Stazya dostaje głodowych kurczy prawie.

— Jedna z panien Fanes zachorowała zapewne, odzywa się słodkim głosem, inaczej byliby tu dawno. Zresztą pójdę zobaczyć, czy . . .

— Nalej mi filiżankę herbaty, przerywa jej księżna zniecierpliwionym głosem.

Herbata jest zimna i niesmaczna, oczekując na gości, których nie ma. Księżna robi Stazyi z tego powodu dosyć cierpkie wyrzuty.

Panna Gurlichingen pociesza się jednakże po tym wybryku złego humoru swej pani, wypijając dwie szklanki madery z tuzinem smacznych ciastek w dodatku.

— Nie umiem nawet wypowiedzieć, jak jestem rada, że nikt dziś nie przyszedł, mówi piękna pani, ziewając. Ludzie są tak nudni, a ta samotność mnie upaja. Niestety! nie potrwa już długo, bo muszę się przecież raz zdecydować na oddanie kilku wizyt, przede wszystkiem żonie naszego konsula.

Pomimo swej zadziwiającej przytomności umysłu Stazya milczy zmieszana za dotknięciem tej delikatnej materyi w rozmowie.

— Spotkałyśmy ją niedawno w Bois, mówi dalej księżna mocno podrażnionym głosem.

— Tak, pokazywałaś mi ją przecież.

— Uważałaś zapewne, jak sztywno mi się odkłoniła? nic dziwnego, dowiedziała się, jak dawno mieszkam w Paryżu, a dotąd jeszcze nie byłam u niej z wizytą.

— Mówiłam ci już kilkakrotnie, że zanadto stronisz od ludzi, wiem, że zawsze samotność lubiłaś, ale teraz zaczynasz już przesadzać troszeczkę, perswaduje Stazya słodko.

— Ach! znienawidziłam świat i ludzi, odpowiada księżna sentymentalnie.

Głośne dzwonienie przerywa powyższą rozmowę.

— Nieznośni! woła Sonia z udanym gniewem. Sądziłam, że już teraz nikt nie przyjdzie przeszkadzać nam w tej poufnej gawędce! To mówiąc, rzuciła przelotne wejrzenie na stojące obok zwierciadło, nerwowym ruchem poprawiając koronki żabotu i sztucznie ułożone włosy na czole.

— Mademoiselle Urwèse, zaanonsował kamerdyner, otwierając podwoje. Urwèse — jest to przekształcenie właściwego nazwiska panny Berty w ustach paryzkiego lokaja. W tej chwili weszła do salonu dobrze nam znana pianistka, z twarzą od wiatru poczerwienioną, z roztarganemi włosami, w zarzutce na głowie, kształtem murzyński turban przypominającej, okryta ozdobnym swym płaszczykiem.

— Jak to ładnie z twej strony, kochana Furwesen, żeś nas odwiedzić raczyła, odezwała się księżna z uśmiechem, kryjąc starannie doznane rozczarowanie.

— Chociaż to dzisiaj mój *jour de réception*, jednakże zamknęłam drzwi wszystkim obcym, nieznośnym mi ludziom, zapewnia księżna, ale w tej samej chwili zatrzymuje się, rzucając na Stazyą niespokojne wejrzenie. Ale nie potrzebuje obawiać się niedyskrecyi ze strony swej towarzyszki; Stazya, przyzwyczajona od dawna słuchać podobnych tłomaczeń, nie zdradza nawet ruchem, co sama o nich myśli. Ciebie tylko, kochana Furwesen, pozwoliłam drogą łaski wprowadzić Baptyście, a teraz rozbierz się, bo naturalnie zostaniesz z nami na obiedzie.

Jeżeli księżna pozwoli, odpowiada panna Furwesen skromnie, całując rękę Obłońskiej.

Siadaj więc przy kominku i rozgrzej się trochę. Anastazyo, mówi, zwracając się do niej niedbale, nalej jej szklankę madery, zresztą nic innego nie dostaniesz, bo nie chcę ci popsuć apetytu, a obiad mamy wyborny.

— Księżna jest dla mnie za dobra, nie wiem, czem sobie na to zasłużyłam, zapewnia słodko nauczycielka muzyki. Ale jak też księżnie w tej zielonej sukni do twarzy. Miał racyą książę Clary, charakteryzując Waszę książęcą mość temi wyrazami: „La Vénus de Milo, habillée par Worth,“ świetne porównanie, nieprawdaż? mówi, patrząc na Obłońską rozmarzonemi oczyma.

— Rozkochałaś się we mnie, droga Furwesen, ale to stare dzieje, odpowiada Sonia z uśmiechem, a ja chcę wie-

dzieć co nowego. Czy nie wiesz o jakiej „histoire scandaleuse“ w Faubourg? ty, co masz zawsze tyle oryginalnych nowin w zapasie?

— Muszę się wprzód zastanowić, szepce p. Furwesen zamyślona, czy się nie stało co nowego.... A propos, już wiem, ale włosy powstaną na głowie Waszej książęcej mości! Ja sama nie miałam pojęcia o podobnem zapominaniu się i niemoralności u panien, z dobrej rodziny pochodzących.

— Opowiadaj, opowiadaj, nalega zaciekawiona księżna.

— Hm, najpierw muszę mieć tę pewność, czy czasem opowiadaniem mojem serca panny Stazyi nie zakrwawię? Nie wiem, czy panna Gurlichingen nie pozostaje w bliższych rodzinnych, lub przyjaznych stosunkach z baronówną Stellą Meineck?

— Bynajmniej! zapewnia Anastazya obojętnie. Spędziłam z nią kilka tygodni pod jednym dachem, nie wdając się w żadne poufalsze stosunki, gdyż nie czułam do niej zbyt wielkiej sympatyi.

— Meineck? Meineck? powtarza księżna, marszcząc brwi, czy to nie ta sama, o której wspominałaś, że się tak szalenie pokochała w Rohritzu?

Anastazya potwierdza to zapytanie kilkakrotnem kiwnięciem głowy.

— Widocznie więc ta młoda osoba posiada bardzo szerokie serce, obecnie bije ono dla kogo innego, a mianowicie dla księcia Lorencino Capito.

Księżna Obłońska milczy, przyglądając się swym paznogciom z udanem zamyśleniem.

— Podobna miłość nie przedstawia żadnej gwarancyi na przyszłość, odzywa się Stazya złośliwie. Zresztą, jakim sposobem potrafiłaś pani odkryć tajemnicę tego niewinnego serca?

Panna Furwesen, odetchnąwszy głęboko, zabiera się do obszerniejszego opowiadania tej ciekawej historyi.

— Zapewne paniom wiadomo, że akompaniuję na fortepianie przy wspólnych tygodniowych lekcyach śpiewu delli Seggioli. Panna Meineck prawie od dwóch miesięcy bierze także w śpiewie udział, zresztą towarzystwo jest bardzo mieszane, szczególniej, co się męzkiej połowy dotyczy. Na ostatniej lekcyi ukazuje się najniespodziewaniej młody książe Capito, zapisuje się do kursu pod śmiesznym pozorem nauki śpiewu, do którego zresztą wiele okazuje zdolności.

— Czy to możebne? odzywa się Stazya zdziwiona.

— Tak jest, on sam we własnej osobie. Reszcie towarzystwa zaledwie kiwnąwszy głową, siada zaraz obok panny Stelli i przez całą godzinę bardzo ożywioną prowadzą z sobą rozmowę. Cóż na to powiecie, moje panie?

— *C'est bien extraordinaire!* odezwała się księżna po chwilce milczenia. Nie byłabym nigdy przypuszczała, żeby podobna nic nieznacząca osobistość księcia Capito zainteresować zdołała.

— Znam dobrze księcia, zapewnia p. Furwesen, spotykałam go w Wiedniu u hrabiny Tierstein i wiem, że obejście jego z kobietami nie cieszyło się szczególną opinią. Obecnie nie ma się czemu dziwić, dla chwilowej rozrywki „każda“ dosyć dobrą być może.

— Nie miałam pojęcia, co to za straszny człowiek z tego Cina, odparła księżna z westchnieniem. Za życia mego męża bywał często w naszym domu, ale naturalnie, postępowaniu jego ze mną nic zarzucić nie było można.

— *Cela va sans dire*, wykrzykuje Stazya z przejęciem.

— Zapewne, zresztą znasz mnie przecież; był to przyjacielski stosunek jedynie. Ponieważ jednak nie chcę uchodzić za doskonałość, więc przyznaję, że niewinna flirtacya z młodym, interesującym mężczyzną sprawia mi pewną przyjemność, ale nie potrzebuję zapewne dodawać, że wszystko, co przechodzi ściśle zakreślone granice, jest dla mnie rzeczą wprost niepojętą.

— Panna Meineck widocznie innego jest zdania, odzywa się panna Furwesen z szatańskim uśmiechem; słyszałam na własne uszy, jak na lekcyi śpiewu księciu *rendez-vous* w Luwrze naznaczała.

— Rendez-vous! woła księżna zgorszona. Tego już doprawdy zanadto, ale nie wiesz przypadkiem, czy Capito się stawił na oznaczoną przez nią godzinę?

— Naturalnie, naocznie przekonałam się o tem. Na drugi dzień, po wspólnej lekcyi u Segiolli, dawałam lekcyą muzyki w blizkości Luwru. Po skończonej godzinie, mając chwilkę wolnego czasu, postanowiłam zwiedzić galeryą, jednakże nie dla obejrzenia obrazów, które znam prawie na pamięć, tylko dla rozgrzania się w ciepło opalonych pokojach. Usiadłam przy jednym z olbrzymich pieców, rozmawiając z jakimś Anglikiem, kopiującym widoki Neapolu; naraz nowy mój znajomy ogląda się żywo, jak każdy mężczyzna, ujrzawszy ładną kobiecą twarzyczkę, idę za jego przykładem i widzę.... kogo? baronównę Meineck ze złotemi włosami, w futrzanym kaftaniku, okładanym sealskinami. Raczcie, panie, osądzić, jakim sposobem osoba, pozostająca w tak nędznych pieniężnych stosunkach — znam ich finanse z czasu mego pobytu w Calow — weszła w posiadanie prawdziwego sealskinowego okrycia, podczas kiedy każda z nas najmniej trzy lata oszczędzać musi, zanim się na kupno kortowego płaszczyka zdobyć może.

— Zapewne dostała go od kogo, odpowiada księżna, wzruszając ramionami z nieokreślonym na ustach uśmiechem. Ale opowiadaj dalej....

— Idzie prosto przez salę, nie rzuciwszy na obrazy spojrzenia, jak ktoś, który przyszedł na umówione spotkanie. Pomimo, że nie lubię tego dumnego stworzenia, zastępuje jej jednak drogę i zaczynam rozmowę: — Baronówno, jak się pani miewasz? — odpowiada mi krótko i z roztargnieniem, w końcu oświadcza, że nie ma czasu zatrzymywać się dłużej, bo ma *rendez-vous*, naturalnie z pewną swoją znajomą!... Patrzę na nią przez chwilę, ale ponieważ nie miałam więcej wolnego czasu, opuściłam Luwre, spotykając się w przedsionku oko w oko z pięknym księciem Capito. Obecność jego w galeryi obrazów usprawiedliwią wszyscy, którym smak artystyczny młodych włoskich książątek jest znany, kończy panna Furwesen złośliwie. Ale co Wasza książęca mość na to wszystko powie?

— Nie do pojęcia! mówi księżna zgorszona.

— Łatwo przewidzieć, jaki podobnie niewinne spotkania w Luwrze wezmą koniec, opowiada nauczycielka muzyki dalej, niedługo księcia w jego własnem pomieszkaniu odwiedzać zacznie.

— Sławne są twoje przypuszczenia, droga Furwesen, odparła kiężna, śmiejąc się z przymusem.

— Ba! mieszkam naprzeciwko księcia na ulicy d'Anjou i nie zdziwię się wcale, widząc pewnego pięknego dnia tę ładną osóbkę wchodzącą do numeru X....

— Ale w takim razie przyjdziesz zaraz i doniesiesz nam o tem, woła uradowana księżna, ściskając rękę pianistki. Br! jaka zimna twoja ręka, czyż to możebne, żebyś się jeszcze rozgrzać nie miała? Nie ubierasz się zapewne dość ciepło?

— Posiadam tylko lekki płaszczyk, ale cóż robić! Wasza książęca mość wie dobrze, że nie jestem w tak szczęśliwem położeniu, ażeby sobie sealskinowe futro módz sprawić!

— Anastazyo, bądź tak dobrą i powiedz Justynie, żeby tu obadwa moja zimowe okrycia przyniosła.

Usłużna Stazya przynosi je osobiście, i Sonia własnoręcznie wkłada je na chudą figurę pianistki. Panna Berta jest prawie o głowę niższa i szczuplejsza w ramionach od księżnej i z tego powodu kosztowne futro śmiesznie trochę na niej wygląda. Księżna Obłońska utrzymuje jednakże, że futro jakby dla niej stworzone i przy tej sposobności obdarza swoję protegowaną pysznem, zielonem, aksamitnem okryciem, podbitem kosztownem futrem.

Uszczęśliwiona pianistka klęka przed księżną, całując jej ręce z uniesieniem.

— Nie przesadzaj wdzięczności, droga Furwesen, broni się księżna z pobłażliwym uśmiechem. Widzisz, obdarzać i

uszczęśliwiać drugich leżało zawsze w mojej naturze. Jedno okrycie darowałam Stazyi — drugie masz ty, dla mnie zostało trzecie, najskromniejsze! lecz to mi obojętne, dodaje z westchnieniem, przecież ja zawsze tylko żyłam dla drugich!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pamięci Bernarda Pretwicza.

Młodzieży polska, znasz ty rycerza,
Co krasi dzieje naszej ojczyzny?
Zawołanego stepów szermierza,
A tak głośnego pośród obczyzny?....

Wyryjcie w sercu to imie sławne,
Czerpcie z krynicy wspomnienia zdroju,
Pijcie, jak nektar, to życie dawne,
Ono, jak balsam, od łez i znoju.

O! Matko święta, ojczyzno droga,
Gdybyś ty tylko wyliczyć chciała,
Ilu to mężów miałaś od Boga,
Chwała by Polski bardziej rozbrzmiała.

Byłby to wieniec, ślicznie uwity
Z lechickich kwiatów barwnej piękności,
Z których niejeden, dzisiaj zabyty,
A cudnie jaśniał w dawnej przeszłości.

Młodzieży polska, więc w ręce braci
Złożę choć jedno słabe wspomnienie:
Niech pamięć wasza z oczu nie traci,
Co tak rzucało złote promienie.

Dwa wieki temu przeszło z okładem,
Gdy mężny Pretwicz czuwał na szlakach,
I gdy rycerstwu świecił przykładem,
Jak biedz na ostre w pancernych znakach.

Wodził, by orły, swoje drużyny
Przez puste pola, jary, czachary,
I młodź nadworną kniazia Puzyny,
Gdy łupieżyli w siołach Tatary.

Świetne rycerstwo biegło w zawody
Walczyć o lepsze imiona, sławy,
Chrobre niżowce pana Łobody, [1])
To mi junacy z brzegów Mołdawy.

Pretwicz nie zaznał, co to jest trwoga,
Jego okrzykiem pogan zagłada!
Gdyby uragan wpadał na wroga
I w puch roznosił hufce Murada. [2])

A rozgromiwszy, puszczał zagony
Po koczowiskach, niwach Budziaku, [3])
Siejąc pożogę na wszystkie strony,
Grożąc wtargnięciem murzom kipczaku.

[1]) Łoboda, krewny watażki kozackiego tegoż nazwiska, a współzawodnika Nalewajki (Archiwum Lipowieckie.)

[2]) Murad, jeden z współczesnych, walecznych murzów Budziaka.

[3]) Budziak dzisiajsza Besarabia.

Pohaniec krymski mijał zdaleka,
Jak zoczył znaki pana Pretwica,
Wiedział, iż pomsta z mieczem go czeka,
Gdy przekroczona polska granica.
Bo król stepowy wymierzał kary,
Tak, iż zadrzeli Taurydy cary. [1])

Długo po jurtach prawiły matki
O pustyń hanie, walecznym giaurze,
O wielkim wodzu ucząc swe dziatki,
Co wziął amulet po hiszpańskim maurze. [2])

Męztwo cześć świętą budzi w islamie,
Cenny to klejnot, dany od Boga,
Wielkiemi głoski wpisano w koranie:
Uchylaj czoła dla mężnego wroga.

I tak ujmował sercem i wolą
Miłość ogólną w swoim narodzie,
Bolejąc zawsze nad słabych dolą,
Nad ich uciskiem w siole, lub grodzie.

Nad sinym Dnieprem długo lud śpiewał
Czyny rozgłośne pana Pretwica,
Jakie to gromkie wyprawy miewał,
I co zdziałała jego szablica!

Przeszłości polska! ty, jak sen złoty,
Za tobą biegnie ciężkie westchnienie,
W duszy się żłobi robak zgryzoty
I wywołuje smutne wspomnienie.

Minione dzieje stają, jak we śnie,
Cienie spiżowe wznoszą się nad głową,
Z grobowców ojce patrzą boleśnie,
Witając wnuków zachęty mową.

Kazimirz Oszmianin.

Kalisz, 8 czerwca, 1888 r.

WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ułożył

hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström.

(Ciąg dalszy.)

Najznaczniejsze rody, najwięcej znane imiona kupców i mieszczan były niemieckie — kroniki wymieniają nam np. rodziny *Bulmring*, *Kemnitz*, *Kerzbock*, *Heraker*, *Stemzen*, *Lolleck*, *Wahrendorf*, *Pommer*, *Olchamer*, *Sturzenbacher*, *Fries*, *Schlaü* et tuti quanti — iście jak u nas po miastach naszych polskich, kędy wytworzył się stan nasz średni, z dawnych wieków osiadły, a dzisiaj polski i szanowany, w Krakowie i Warszawie, a Bóg daj, aby to kiedyś, w lepszych czasach i w naszej ziemi widziano.

Do pierwszorzędnych rodzin pochodzenia germańskiego należała familja *Burmeistra*, przed której domem stajemy. *Gotlandya i Wysby* w owym czasie zalane jeszcze były prze-

[1]) Panowie Krymu.

[2]) Krewny Pretwicza, przebywając na dworze Kalifa w Granadzie, otrzymał od pewnego maura amulet sławy.

ważnie żywiołem duńskim. W kościołach, jakich wówczas kilka jeszcze istniało, kazania w duńskim odbywały się języku, szkoły były jeszcze duńskie. Mieszczaństwo li po niemiecku mówiło, a kolonia niemiecka zachowywała ściśle charakter i obyczaj swój narodowy.

Domów w tym czasie czysto obyczajem niemieckim budowano wiele; ten jeden tylko się na świadectwo nietkniętym pomnikiem przechował, z pokolenia na pokolenie w spuściznie rodzinnej aż po dni nasze się przechowując. Owczesny charakter wieku, w którym *Burmeister* dom swój budował, był nacechowany symbolistyką; napotykamy ją też tutaj na każdym kroku w ornamentacyach, malowaniu, rzeźbie i w napisach biblijnych Było bowiem zwyczajem w mieszkaniach ówczesnych — na domach, na ścianach, na piecach, belkach i na sufitach, na szybach nawet umieszczać malowidła i napisy symboliczne, sentencye z biblii, przeplatając je herbami i portretami rodowemi, dającemi mieszkaniu jakiś charakter świąteczny i poważny. W domu *Burmeistra* na pierwszem piętrze jest wielka sala, cały niemal dom obejmująca, która do pierwszorzędnych ciekawości miasta dzisiaj jest zaliczona, i słusznie, nic tu dotąd bowiem nie naruszono, tak, iż wchodząc do tego przybytku średniowiecznego, zdaje nam się, żeśmy w innym czasie i społeczeństwie stanęli, żeśmy tu gośćmi, których cienie zmarłych gospodarzy witają, okazując nam, czem byli i jak żyli przed laty.

Obszerna ta sala jest $13^1/_2$ łokci szwedzkich długa $11^1/_2$ szeroka $4^1/_2$ wysoka (łokieć szwedzki $^5/_4$ łokcia naszego). Po wschodniej i zachodniej stronie szerokie okna w drobne tafle malowane, w ołów oprawne. Ściany dokoła udekorowane malowidłami olejnemi, przedstawiającemi krajobrazy, polowania, widoki morskie, wykonane artystycznie. Ponad tem fryz drewniany z 24 scenami z starego testamentu, wokoło których, równie jak w narożnikach, wieńce owoców i kwiatów wykwintnych. Takich dekoracyi spotyka się bardzo wiele w domach prywatnych starych miast niemieckich — w *Nurenberdze*, *Lubece, Stralsundzie*, w naszym *Gdańsku* nawet.

Pod scenami biblijnemi napisy złote, niemieckie na tle czarnem poumieszczane wszędzie, jak naprzykład sentencya, którą zachowałem w pamięci: *Der Herr sprach zu Abraham*: *Gehe aus deinem Vaterlande*, „albo“: *Herr Gott-du bist meine Zuflucht für und für!*“ Z obrazów większych na ścianie bardzo pięknie przedstawia się polowanie w ciemnym lesie, oraz widok na morze, ożywione żaglami; tutaj nad brzegiem przedstawiony jest mężczyzna, patrzący przez perspektywę na pływające w dali okręty — prawdziwy symbol kupca, w portowem mieście zamieszkałego, Pomiędzy temi obrazami wszelkie wolne miejsca zajęte są malowaniami fantazyjnemi ptaków, wszelkiego rodzaju zwierząt i konceptów żartobliwych bez końca. Zaraz przy drzwiach wchodowych wymalowana jest małpa w czapce czerwonej, ustrojona pociesznie w kryzę fałdzistą, kieliehem witająca przybyszów. Nad bogatym, staroświeckim kominem umieszczony piękny kogut, jako symbol czujności domowej. Obok komina napis: „*Gleich ist arm, helt er doch warm.*“ Po obu stronach staroświeckiego komina dwie tarcze z cyframi i godłem rodowem *Burmeistra* i jego żony *Kariny*.

Sufit pomiędzy rzeźbionemi i złoconemi belkami również jest malowany. — W samym środku wizerunek *Chrystusa*, dokoła czterech ewangelistów, z których zwłaszcza malowidło *Łukasza i Mateusza* zdaje się niepospolitego artysty robotą. — Po rogach przedstawione są stany: szlachecki, mieszczański i chłopski. — Cały ten starodawny przybytek przechowany jest starannie; równie sala, jak cały ten dom ciekawy, urządzone a jest w najdrobniejszych szczegółach nawet odpowiednio wiekowi; wszystko tu przechowane i poszanowane zostało — wszystko orginalne i stare, nic podrabianego — dom średniowieczny z siedmnastego stulecia w całem znaczeniu tego wyrazu.

Idąc dalej, napotykamy znów staroświecki wielkich rozmiarów dom murowanny z kamienia, jeden z najstarszych tradycyjnych i legendowych gmachów *Gotlandyi*, z oryginalną nazwą „*Kalfskinshuset*“, *Dom skóry cielęcej.*

Legenda opowiada nam, że *Birger Magnuson*, król szwedzki, w roku 1312, przybywszy do wolnego miasta *Wysby*, użył znanego nam w historyi fortelu królowej *Didony* przy założeniu *Kartaginy.*

Birger również, jak *Didona*, zażądał, aby miasto darowało mu część przyległego rynku *rybackiego*, niewiększą, jakby ją mógł objąć skórę cielęcą, a gdy uzyskał zezwolenie rajców, kazał skórę na wązkie paski pokrajać i tym sposobem zajął przestrzeń dość dużą, aby na niej rezydencyą królewską zbudować. Był to na one czasy gmach wspaniały — prawdziwa siedziba królewska. — Po zbudowaniu zamku Viborga dom ten, jako rządowy, przez władzę był używany. Z upadkiem miasta zgorzał i stał przez długie lata ruiną; ale że to była budowa silna, przetrwały mury wspaniałe, i dzisiaj znowu po części odbudowany stanowi kamienicę oryginalną i dosyć nawet śladami dawnej struktury imponującą. Lecz głośną ciekawością tego gmachu są obszerne jego podziemia; głębokie piwnice i ganki sklepione, pozostałe gdzieniegdzie kolumny marmurowe i stare zabytki rzeźby kamiennej: które dzisiajszy właściciel po większej części stąd zabrał i w wiejskiej swej rezydencyi umieścił. Dom, na nowo przebudowany, był długi czas winiarnią i bursą — dziś jest po prostu gorzelnią i składem, niestety! — ale nie przestanie być nigdy pomnikiem arhitektury i pamiątkową legendą prastarych dziejów *Gotlandyi*, jednym może z najciekawszych zabytków archeologicznych tej okolicy.

Ciekawym zabytkiem architektonicznym i śladem zamożnych mieszkań mieszczańskich bogatego *Wysby* jest piękna i imponująca dziś jeszcze, a w stylu czysto gotyckim zachowana kamienica dzisiajszej *apteki.* — Tutaj, krom całokształtu budowy zewnętrznej, jej przepysznych łuków, okien i szczytu, przede wszystkiem ciekawe są śmiałe sklepienia izb i sieni, na jednym słupie opartych, które rzadko gdzie i kiedy tak okazałe napotkać się zdarzy. Minąwszy ten gmach ciekawy, przechodzimy do równie śmiałej i starej budowy dzisiajszego *gimnazyum*, które oprócz zabytków architektury zawiera w sobie ciekawość przyrodniczo-fizyczną pierwszego rzędu. Obszerne pod tym gmachem znajdują się tu podziemia, śmiało sklepione. — W środkowym sklepie znajduje się źródło zimnej wody — której n i e o d m i e n n a temperatura nigdy 5 stopni Celzyusza nie przechodzi, gdy przecięciowa temperatura ziemi 8 stopni stanowi, co w niegórzystej i nad poziom morza mało co wyniesionej *Gotlandyi* prawdziwą jest fizyczną zagadką. Sławny badacz natury, *Linneusz*, zauważył, że woda, płynąca od strony wnętrza wyspy, była bardzo czysta i bogatem przypływała strumieniem, tak, że dawnemi czasy równie tutaj, jak w innych podziemnych sklepach miasta, ryby wygodnie przechowywano; ale mimo pozorów woda ta była poniekąd szkodliwa. Nie wiedziano, iż od tej wody właśnie dostawano kamienia i podagry, kaszlów szkodliwych i rodzaju hypokondryi (*Colica Hypochodriaca.*) — Jest to rodzaj wody wapiennej. osadzającej się, od której przybywający goście dostają wyrzutów skornych, a bielizna, pierwszy raz prana, czerwienieje, później zaś przy używaniu dalszem tej samej wody do niezwyczajnej dochodzi białości.

Miejscowi mieszkańcy używają tego zdroju pomimo przestróg *Linneusza.* — Przyzwyczajenie tutaj, jak wszędzie, drugą się staje naturą.

Dla nas zdrój ten podziemny jest fenomenem natury godnem zastanowienia — ciekawością, której wędrowiec nie pominie, a którą zaznaczyć nam wypadło.

„*Jag gar till döden hvart jag gar*“

Gdziekolwiek się obrócimy, wszędzie zamarłej przeszłości śmiertelne tylko widzenie. Historycznym szkieletem dziejów, fantastycznych wspomnień ubrana całunem i w połamanych murów koronie — śmierć wielkim *memento mori* składa nam pieśń żałobną, po prastarym cmentarzu bogatego tak ongi miasta oprowadzając.

Przeszłość z teraźniejszością w wydatnym i bardzo oryginalnym nam się przedstawia tutaj kontraście.

Dzisiajsze *Wysby*, mała i niepozorna, na pół drewniana, lub ze starych złomów sklecona mieścina, rozłożona tu poetycznie — na starym cmentarzu przeszłości żyje — na cmentarzu historycznym, który imponującemi szkielety prześlicznych zabytków architektonicznych nadaje stolicy G o t l a n d y i tajemniczej wielkości fantastyczne pozory.

Mistyczna to dekoracya — wspaniałe i przejmujące widzenie odegranego dramatu dziejów — który dalekiem echem zamglonego wspomnienia tajemnicze wywołuje marzenie.

Przebiegliśmy trzypiętrowe miasto, które, nad brzegiem morza w wapienne ściany ujęte, fantastycznym wieńcem kilkudziesięciu baszt i wieżyc się rozłożyło.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kilka słów o Gogolu i jego powieści.

Z pomiędzy wszystkich literatur obcych najmniej znana nam jest rosyjska, a jednak Rosyanie nie bez słuszności wynoszą wysoko swoje piśmiennictwo; mieli oni takich myślicieli-pisarzy, jakich każdy naród pozazdrościć im może. Chociaż Puszkin nie dorównywa Mickiewiczowi, a wieszczów narodowych w rodzaju Zygm. Krasińskiego i Słowackiego nie posiada Rosya wcale, my natomiast nie mamy talentów w rodzaju Mikołaja Gogola, Turgieniewa, lub Lwa Tołstoja. Są to głębocy psycholodzy, znający społeczeństwo swoje i charakter narodu na wskroś. Powieść p. n. „Miertwyje duszi“ Gogola jest czarnoksięzkiem zwierciadłem, odbijającem lud rosyjski nietylko ze stron zewnętrznych, ale przesuwającem przed czytelnikiem typy przezroczyste, widne na wylot.

„Ruski czeławiek“ nie jest jednak łatwym do scharakteryzowania, tkwi w nim bowiem wiele sprzeczności; jest w nim dziwna mieszanina złego i dobrego, jaka znajduje się zwykle w szerokich, pierwotnych naturach, nieuszlachetnionych pojęciami rycersko-chrześciańskiemi. Pierwotność owa bywa przecież zazwyczaj pociągniętą pokostem cywilizacyjnym, nader złudnym i powabnym. Rosyanie poza granicami kraju podobają się powszechnie, bo układność salonową łączą z niejaką ciepłotą serdeczną w obejściu. W domu są gościnni, uprzejmi i towarzyscy zawsze, umieją schwycić za serce człowieka od razu, ale przymioty owe nikną, skoro zajrzysz w głąb' i poznasz owę nieprawość ducha, połączoną z zupełnym brakiem poczucia honoru, lub godności osobistej, przywary, czyniące obcowanie z nimi niemożliwem. Oprócz tego natura rosyjska łączy jeszcze inne sprzeczności. Ruchliwi, żywi, namiętni przy zabawie i we wszelkich okolicznościach życia — są pospolicie bajecznie leniwi w wypełnianiu obowiązków swoich. Każde bióro rządowe roi się od ilości urzędników źle płatnych, czyhających na wyzysk interesantów, pracujących bardzo pomału. Przełożeni i wyżsi „czinem“ literalnie już nic nie robią, choć nie gardzą także „wziatkami.“ (Wziatecznik, wziatecznictwo, wziatki — są to specyalne termina, które my tłomaczymy łapówką, przekupstwem).

Pamieszczyki (ziemianie) Gogola nie zajmują się wcale gospodarstwem, żyją całkiem bezczynnie i myślą tylko o tem, coby zjeść i czemby popić. Książka była pisaną w czasach poddaństwa chłopów, ale i dzisiaj rzeczy pod tym względem zupełnie się nie zmieniły. Właściciele układają się z włościanami o połowę zbioru i o nic się nie kłopocą. Konie trzymają dla wyjazdu w sąsiedztwo, lub do miasteczka. Mużik sam zaorze ziemię, zasieje, sprzątnie, a w czasie żniw połowę sprzętu dostawia do dworskich stodoł. System ten przyjęli także żydzi, dzierżawiący majątki ziemskie od Polaków w zachodnich guberniach carstwa. Całe zajęcie właściciela polega na dopilnowaniu, aby podział snopów był równy, aby snopy chłopskie nie były większe. Gogol zastanawia się kilkakrotnie nad przyczyną owego zleniwienia tak żywej i czynnej natury swych współziomków, lecz nie zdoła ich wykazać, mówi tylko; „ja nie znaju.“

Wszystkie te cechy i sprzeczności nawet można przecież odnaleźć w pojedyńczych typach także u innych narodów, ale takiego braku poczucia honoru nikt nigdzie nie odszuka. Szeroka rosyjska natura pochopną jest do bójek, kłótni, do awantur wszelkiego rodzaju, lecz o pojedynkach nie ma tam mowy. Ci, co się pobili, nawymyślali sobie, powyrywali sobie bokobrody, lub wąsy, spotkawszy się po niejakim czasie, witają się przyjaźnie, jakby nic nigdy nie było zaszło między nimi.

Koczkarew w komedyi p. n. „Żenitla“ (swaty), mówi cynicznie: „choć ci kto w twarz napluje, co to szkodzi, chustka jest w kieszeni, a kieszeń niedaleko twarzy.“

Nozdrew w „Miertwych duszach“ wraca zazwyczaj z jarmarku z jednym mniejszym bokobrodem, oszukuje przy grze w karty, mimo to bywa wszędzie przyjmowany gościnnie, ściskany, całowany.

Treść „Miertwych dusz“ jest następująca:

Za czasów poddaństwa włościan w Rosyi wartość majątku ziemskiego obliczała się wedle ilości dusz, to jest niewolników, pracujących około roli. Właściciele płacili podatki poduszne, a ponieważ ruch ludności bywa falisty, t. j. jedni się rodzą, drudzy umierają, rząd więc dla uproszczenia manipulacyi podatkowej urządzał co lat kilkanaście rewizye i porządkował regestry dusz, a tymczasem od jednej rewizyi do drugiej umarli zaliczali się do liczby żyjących, a nowonarodzeni nie wchodzili w rachubę. Majętność można było zastawiać w lombardach także wedle ilości dusz. Otoż niejaki Paweł Cziczikow, przebiegły z natury, na ławkach szkolnych umiejący już wyzyskiwać różnemi sposobami kolegów, po różnych katastrofach na urzędach chwilowo pozbawiony posady za nadużycia, powziął myśl zakupienia znacznej ilości dusz zmarłych i zastawienia ich w lombardzie. Przedsiębierze więc podróż po kraju, zajeżdża do różnych pomieszczików i robi świetne interesa. Tutaj Gogol miał pole do portretowania różnych typow, a z zadania wywiązał się nieporównanie.

Skoro Cziczikow przyjeżdża do miasta N. z całym swoim zasobem majątkowym, ocalonym z ostatniego rozbicia na komorze celnej, tj. bryczką krytą, zaprzężoną w trójkę koni, z dwoma własnymi ludźmi, woźnicą Selifanem i z lokajem Pietruszką, objawia się zaraz w całej pełni gościnność i towarzyskość rosyjska.

Gubernator, policmajster, prokurator i inni najwyżsi „czinem“ zapraszają do siebie gościa na obiadki, nie pytając wcale, kim jest i co wart, jako człowiek. Gość był przystojnym, miłym, rozmownym, dobrze ułożonym, a to już wystarczało dla otworzenia mu wszystkich podwoi.

Zapoznawszy się na tych obiadkach z obywatelami ziemskimi, Cziczikow wybiera się do nich w interesie zakupna dusz zmarłych.

Tutaj także bywa przyjmowany gościnnie, a propozycya jego wywołuje rozmaite, stósowne do charakteru osobników wrażenia, wszędzie jednak nie pozostaje bez skutku.

Maniłow, rozleniwiony duchowo, przeżyty, wytworny w powierzchownym układzie panicz, oddaje dusze zmarłych darmo, nie pytając nawet, do czego mogą się komuś przydać. Przybycie gościa sprawiło mu niejaką rozrywkę w jednostajnem i nudnem życiu na wsi, jest mu za to wdzięczny i radby się przysłużyć czemkolwiek.

Rozmowa toczy się o towarzystwie miejskiem, a gospodarz wraz z gościem sadzą się na pochwały najwyższe. Gubernator, prokurator, policmajster etc. etc. są to same doskonałości, tak, iż zabrakło już stopnia przymiotników dla oznaczenia ich zalet. Jest też mowa o teatrze, o literaturze, wszyscy bawią się dobrze i są zadowoleni. Przy obiedzie na widok dwóch chłopczyków, z nauczycielem przybyłych, Maniłow wynosi wysoko zdolności swych synków, Temistoklusia i Alcyda, examinuje ich z różnych nauk, a w końcu wyznaje, iż Temisoklusia przeznacza do dyplomacyi, a zwracając się do chłopca, pyta go:

— No cóż, Temistokluś, chcesz być posłem?

— Chcę, odpowiada rezolutnie przyszły dygnitarz, zajadając chleb i kiwając główką w prawo i w lewo.

Początek wyprawy był wyborny, dusze przyszły darmo, i dzionek spędziło się bardzo przyjemnie, tylko za długo się siedziało; wieczor nadszedł, a niebo okryło się ciężkiemi chmurami. Uczęstowany również gościnnie Selifan, zdrzemał się na koźle, ominął sąsiednią wioskę, wywrócił brykę w błoto i nakoniec około północy przyjechał do jakiegoś folwarku. Boczkorewa, staruszka, wdowa, przyjęła zbłąkanego gościnnie, kazała mu posłać uczciwie, osuszyć i oczyścić gościowi ubranie, a nazajutrz czekała go ze śniadaniem. Skrzętna i chciwa na grosz gospodyni, chociaż nie mogła zrozumieć interesu z duszami zmarłych, gdy się dowiedziała, że nie będzie płaciła od nich podatku, przystała chętnie na sprzedaż, zaniepokoiła się jednak wkrótce, czy nie za tanio sprzedała, a wziąwszy Cziczikowa za kupca, częstowała go sadłem i pierzem. W ogóle kobiety Gogola bywają pracowitsze i gospodarniejsze od mężczyzn, popycha je do tego obowiązek zaopatrywania śpiżarni w przeróżne zapasy, smarzone, marynowane. Marynaty szczególniej, jako zakąski po wódkach, odgrywają wielką rolę w życiu Rosyan.

Wyjechawszy od Boczkorewy, Cziczikow wybrał się do Sobakiewicza, z którym poznał się także u gubernatora. W drodze spotkał Nozdrewa, również świeżą znajomość z miasta, który wracał z jarmarku do domu. Nozdrew kazał zatrzymać konie, powitał Cziczikowa serdecznie, jakoby starego przyjaciela, i zaprosił do siebie, a nalegał tak usilnie, że podróżnik dał się uprosić, wsiadł na bryczkę gospodarza i pojechali razem. Był tam także szwagier Nozdrewa, wracający z jarmarku.

W drodze Nozdrew ciągle opowiadał, jakie bajeczne sumy przegrał w karty, i już, już fortuna zaczęła mu sprzyjać, ale nie miał pieniędzy do dalszej gry, a szwagier nie chciał pożyczyć. Gdy przybyli do dworu, zastali tam wielki nieporządek, bielono salę jadalną, sprzęty były poustawiane jedne na drugich. Gospodarz wypędził mużików z wiadrami wapna, zadysponował kucharzowi obiad, a gości wyprowadził w podwórze, aby im pokazać różne nadzwyczajności. Pokazał najprzód źrebca, za którego miał zapłacić 10 tysięcy, a który wedle zdania szwagra i tysiąca nie był wart, pokazał różne psy różnych gatunków, a w końcu wyprowadził gości w pole. Tam, rozpostarłszy szeroko ramiona, wskazał pola i lasy, mówiąc: „to wszystko moje, i to moje.“ Szwagier zdziwił się bardzo, pytając:

— Kiedyż nabyłeś to wszystko?

— W tych dniach, odrzekł Nozdrew czelnie.

— To dziwna, mruknął szwagierek, bo w tych dniach byliśmy razem w mieście, a nie słyszałom nic o kupnie.

Gospodarz nie dosłyszał tej uwagi, przyprowadził gości na obiad, bo już było późno.

Jedzenie było liche, a wino kwaśne, choć napisy na butelkach wskazywały gatunki wyborowe. Nozdrew zachwalał wszystko i opowiadał niestworzone rzeczy o swej piwnicy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak żywić dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 24.)

Po owym poglądzie na znane nam dotąd pożywki, dla niemowląt i dzieci przeznaczone, wypada nam, i to aby wywiązać się z zadania na wstępie określonego i aby odpowiedzieć, choć tylko pobieżnie, na pytania, tylekroć nam przez troskliwe matki zadawane, wspomnieć jeszcze:

a) jak długo niemowlę poprzestawać ma tylko na samym pokarmie matki,
b) kiedy obok pokarmu matki dostawać może inne i jakie z owych wyliczonych powyżej sztucznych pożywek,
c) jak żywić dzieci, począwszy od pierwszego ząbkowania aż do następnego, czyli od drugiego aż do siódmego roku ich życia.

Głównym przewodnikiem i jedną z najwyraźniejszych wskazówek, któremi kierują się powszechnie matki przy oznaczeniu, jak długo mają karmić niemowlę swem własnem mlekiem, kiedy rozpocząć dodawanie innego pokarmu i kiedy zupełnie odłączyć dziecinę, jest wyrzynanie się ząbków.

Oprócz tej wydatnej wskazówki przecież istnieje jeszcze wiele innych i to ważnych, o których już powyżej wspominaliśmy: są to owe przemiany w narzędziach trawienia, a głównie stan całego ustroju dziecka. „Nie każde dziecię, przytacza matkom dr. Kosmowski*), rozwija się w stale oznaczonym i jednakowym czasie; nie u każdego dziecka wszystkie przemiany organiczne uskuteczniają się w jednym i tymże samym przeciągu czasu; owszem różnica bywa tutaj bardzo wielka. Nawet wyrzynanie się zębów u jednego następuje wcześniej, u drugiego zaś później. Stąd też wypada oprócz zębów wziąć pod uwagę wszystkie możliwe do spostrzeżenia znaki.“

Z powyższych wzmianek (zob. nr. 16. Strona 127) znanem nam już jest, że niemowlęta w pierwszych dwóch miesiącach ich życia bardzo mało tylko wydzielają śliny, że żołądek ich i reszta w zakres przewodu pokarmowego wchodzących organów nie jest w stanie przyswajać sobie i przerabiać pokarmu stalszego, prócz mleka matki i jej zastępczyni, lub też odpowiednio rozrzedzonego mleka krowiego i że dopiero od końca trzeciego miesiąca wolno jest niemowlętom, sztucznie żywionym, podawać za pokarm odpowiednio wybrane i ściśle podług przepisów zgotowane pożywki.

Niemowlę, karmione wyłącznie mlekiem matki i odpowiednio się rozwijające, może przy niej pozostać bezpiecznie tak długo, aż mu sama natura nie wskaże granic i to przez pojawienie się odpowiedniej ilości ząbków t. n. mlecznych.

„Szczęki uzbrojone przedniemi t. n. siecznemi zębami, które matczyną pierś tak boleśnie gryzą, nie są już do ssania odpowiednie,“ powiada słusznie Bednar**) Odłączenie zupełnie zdrowych i normalnie rozwiniętych niemowląt od piersi, powinno być dokonanem w końcu pierwszego roku ich życia Gdyby czynność ta miała nastąpić podczas skwarnego lata, w którym to czasie, jak wiadomo, mleko krów, owa główna podwalina pożywienia odłączonych niemowląt, szkodliwie na nie oddziaływać zwykło i jeśli

*) Dr. Wiktoryn Kosmowski. Rys hygieny dzieci w pierwszych latach ich życia. Warszawa 1873. Strona 143.

**) Aloizy Bednar, Prof. dr. w Wiedniu. Dyetetyka dziecięca. Przekład z niemieckiego p. M. z G. Kwietniewską. Warszawa 1873. Strona 65.

matka, lub żywicielka jest dosyć silną, wtedy godzimy się i na dłuższe karmienie, szczególniej zaś, gdy oprócz mleka matki, potrzebom niemowlęcia stósownie wybraną pożywką w pomoc się przychodzi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

Do nowości scenicznych zaliczają się obecnie: „Ptaki niebieskie,“ komedya w 3 aktach przez Zygmunta Przybylskiego, satyra na owe wyrzutki społeczeństwa nierzadkie, niestety! co to, przetrwoniwszy lekkomyślnie ojcowską fortunę, „nie sieją, ni orzą,“ jak owe ptaki ewangeliczne, ale karmią się dobrze i równie dobrze piją za wyłudzone grosze od krewnych i znajomych.

„Walka o córkę,“ melodramat w 5 aktach przez Pawła Kośmińskiego z muzyką p. Nowackiego. Rzecz osnuta na tle życia małomiejskiego, którego ciemne, ujemne strony przedstawił autor z prawdą, życiem i humorem — miejscami może zbyt jaskrawo, używając trywialnych wyrażeń, tłustych dowcipów i konceptów, rażących estetyczne uczucia wykształceńszych słuchaczy.

„W Tatrach,“ obraz sceniczny w 4 aktach przez Klemensa Junoszę z muzyką Z. Noskowskiego, przedstawia na wdzięcznem tle tatrzańskiem pełne humoru przygody grona turystów. Całość nieco rozwlekła, nie brak jej jednak scen efektownych, barwnych dowcipem i fantazyą. Wabikiem dla publiczności w sztuce tej jest muzyka p. Noskowskiego, lekka, melodyjna, rzewna, to znów jędrna i dziarska.

Francuzkie pisma: „Journal des arts“ i „Moniteur des arts“ pisząc o tegorocznym „Salonie paryzkim,“ poświęcają dłuższe ustępy naszym mistrzom i ich utworom. I tak bardzo korzystnie i pochlebnie wyrażają się o p. Aksentowiczu, o p. Annie Bilińskiej, o pp. Arturze Gąsowskim, ks. Wiktorze Gedroyciu, W. Gersonie, Andrzeju Mniszchu, Styce i o rzeźbiarzu, Cypryanie Godebskim.

„Journal des arts“ opisuje szczegółowo obraz p. Wojciecha Gersona, przedstawiający zamordowanie Przemysława I przez margrabiów brandenburskich, a w krytyce wyraża się: „Wszystkie postacie oddychają energią, obraz czyni wrażenie prawdziwej grozy.“

Dotąd nie wolno było wprowadzać dzieł sztuki do amerykańskich Stanów-zjednoczonych; gdy naraz w ostatnim czasie pan Belmont, znany miłośnik malarstwa, prezes komitetu do spraw zagranicznych Stanów-zjednoczonych, złożył w komisyi Izby tegoż państwa bill, proponujący zniesienie tegoż zwyczaju. Jest to nader ważna dla artystów sprawa, wielokrotnie już stawiana na porządek dzienny; obecnie popiera ją żywo i usilnie p. Roustan, poseł francuzki w Waszyngtonie — czas pokaże, czy dla sztuki korzystnie rozwiązaną zostanie.

Przy odkopywaniu starożytnych ruin w Tebach znaleziono przeszło 500 posągów, po części przedstawiających zwierzęta. Rzeźby te znakomicie się przechowały.

W Japonii, kędy światło wiary Chrystusowej coraz jaśniejsze zatacza kręgi, utworzyły się r. 1872 dwie komisye misyonarzy w celu przetłomaczenia pisma św. na język japoński. Właśnie przed kilku tygodniami obchodzono w japońskiem mieście Tokio uroczystość ukończenia tego arcytrudnego dzieła, które zdoła ułatwić pełnym zaparcia siebie i poświęcenia misyonarzom trudy nawracania japońskich pogan, mianowicie mieszkańców krainy Mikado. Ogromne koszta tłomaczenia przejęły na siebie: amerykańskie Towarzystwo biblijne, Towarzystwo narodowe szkockie i angielskie.

W Krakowie ogłoszono konkurs na budowę nowego przybytku Melpomeny. Konkurs ten zyskał aprobatę, sympatyą i rozgłos po całej Europie, a najlepszym tego dowodem jest, że w ciągu jednego tygodnia zgłosiło się do komitetu budowy 35 architektów cudzoziemców po bliższe informacye. Do tego grona należą architekci z Paryża, Monachium, Wrocławia, z Berlina i. t. d.

Anarchiści we Francyi starali się na cały kraj rozszerzyć bezrobocie, podtrzymując je funduszami, w tym celu zebranemi. Tymczasem na zgromadzeniu robotniczem, d. 17 sierpnia odbytem, sekretarz bióra zmowy zmuszony był oświadczyć przytomnym, że zebrane fundusze już się wyczerpały, i że odtąd robotnicy mogą czynić, co im się podoba. Robotnicy, ktorych nikczemni wichrzyciele namówili do porzucenia pracy, doszli obecnie do tak strasznéj nędzy, że złorzeczą i burzą się dzisiaj przeciw mniemanym swoim dobroczyńcom, którzy ich tak długo łudzili obietnicami świetnej przyszłości.

Bułgarya i Serbia są po dziś dzień widownią morderczych napadów i rabunków, jakich na wielką skalę dopuszczają się tam rozbójnicy w rodzaju Rinalda Rinaldini.

Chwytają oni mianowicie ludzi bogatych, lub wysokie stanowiska zajmujących, żądając za nich następnie kosztownego okupu pod grozą śmierci. Inni napadają i rabują z dzikiem zuchwalstwem wsi całe, kościoły i klasztory — szerząc wokół spustoszenie, któremu rząd w tych krajach dotychczas zapobiedz nie stara się, czy nie umie?...

Promyki.

Ile się dusza wzruszy. tyle Boga wzruszy,
O ile dusza w Bogu, o tyle Bóg w duszy.

Zaiste, miłe Bogu jest aniołów pienie,
Ale daleko milsze człowieka milczenie.

Głośniej, niźli w rozmowach Bóg przemawia w ciszy,
I kto w sercu ucichnie, zaraz go usłyszy.

A. M.

Zaiste miłość jest świętym pożarem,
Iskrą zatloną w ogniach nieśmiertelnych,
Aniołów dobrem, Wszechmocnego darem,
Balsamem rajskim dla serc skazitelnych;
Pobożność duszę w niebiosa porywa,
Ale z miłością niebo w duszę spływa.

A. M.

Rozwiązanie zagadki w n. 24 „Domu Polskiego.“

Ubóstwo.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.